

157353

LICEALNA BIBLIOTECZKA FILOZOFICZNA. T. 1
Pod redakcją Prof. Dr Jana Kuchty

Dr WŁADYSŁAW WITWICKI
Profesor Uniwersytetu Warszawskiego

ROZMOWA Z PESYMIŚCIĄ

III. WYDANIE
(Z portretem i życiorysem Autora)

L w ó w 1938

Nakładem „Lwowskiej Biblioteczki Pedagogicznej“.

DAR

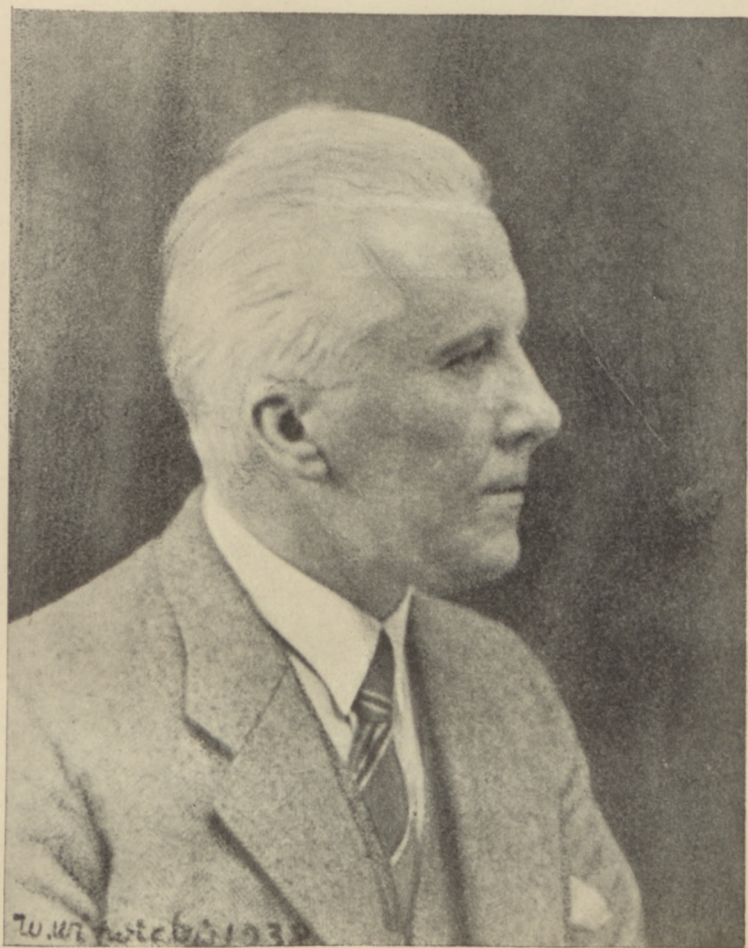
L. Spätk. Spizys.
Warszawa

DLA
BIBLIOTEKI
UNIwersYTECKIEJ
W TORUNIU

1950

0.90

u



LICEALNA BIBLIOTECZKA FILOZOFICZNA. T. 1
Pod redakcją Prof. Dr Jana Kuchty

Dr WŁADYSŁAW WITWICKI
Profesor Uniwersytetu Warszawskiego

ROZMOWA Z PESYMISTĄ

III. WYDANIE
(Z portretem i życiorysem Autora)

L w ó w 1938
Nakładem „Lwowskiej Biblioteczki Pedagogicznej“.

757.353



Władysław Witwicki, najwybitniejszy współczesny filozof polski, urodził się 30. IV. 1878 r. w Lubaczowie. Od drugiego roku życia chował się we Lwowie. Tu skończył szkołę powszechną, gimnazjum (klasyczne) i Wydział Filozoficzny Uniwersytetu J. K. Na Uniwersytecie studiował nauki przyrodnicze pod kierunkiem Prof. Dybowskiego, Nusbauma, Ciesielskiego, Dunikowskiego, Siemiradzkiego, Zuberera, Radziszewskiego, Zakrzewskiego a równocześnie filozofię pod kierunkiem Kazimierza Twardowskiego. W roku 1900 złożył egzamin na nauczyciela nauk przyrodniczych w szkołach średnich i doktorat filozofii na podstawie rozprawy p. t. „Analiza psychologiczna ambicji”. Na dalsze studia wyjechał do Wiednia i Lipska, gdzie studiował psychologię w pracowni W. Wundta. Po powrocie zaczął pracować we Lwowie jako nauczyciel szkół średnich męskich i żeńskich i habilitował się w r. 1904 do filozofii na podstawie pracy p. t. „Analiza psychologiczna objawów woli” jako docent prywatny Uniwersytetu J. K.

W roku 1919-ym powołany na katedrę psychologii do Warszawy, gdzie dotąd pracuje jako profesor. Wydał między innymi pracami Zarys Psychologii dla szkół średnich, dwutomowy podręcznik psychologii dla szkół wyższych, rzecz „O źródłach poznania życia uczuciowego”, „O jedności prawdy

i dobra“, „Psychologia a wojsko“, „Wiadomości o stylach“, pisał przez szereg lat sprawozdania z wystawy sztuk pięknych we Lwowie w Słowie Polskiem a wydał też dwanaście tomów przekładów i komentarzy do pism Platona. Ilustrował książki dla młodzieży, wykonywał dyplomy honorowe, projektował okładki książek, ekslibrysy i zbudował dla Uniwersytetu J. P. w Warszawie ruchomy model, w którym się widok bryły zwiększa, zmniejsza i prawidłowo zmienia, zależnie od zmian pozycji oka w stosunku do widzianej bryły. Wykonał medal pamiątkowy na jubileusz Prof. Twardowskiego, szereg akwafort, litografij, prac olejnych, pastelowych i akwarelowych, fotografij oraz rzeźb zostających w posiadaniu prywatnym i w zbiorach publicznych we Lwowie. W Uniwersytecie J. P. w Warszawie prowadzi zlecony kurs rysunku odręcznego.

Powiada mi ktoś niedawno: Proszę pana, znam wielu młodych ludzi, którzy cierpią na pesymizm. Nie mógłby im pan co na to poradzić?

— Poradzić radbym bardzo, powiadam, ale mi się to wydaje trudne. Wiem, że nieraz szczerą rozmową na niejedno cierpienie człowiekowi pomoże, ale musi to być naprawdę rozmowa i musi być szczerą i nie jedną.

— A gdyby tak który z chłopców napisał i otwarcie przedstawił, co myśli i czuje i jak mu jest i dlaczego?

— Możemy spróbować, ale za skutek takiej kuracji na niewidziane nie chcę odpowiadać. Ludziom nawet i ustnie trudno się porozumieć, a cóż dopiero listami?

W jakiś czas potem dostaję list. Powiada w nim młody człowiek sam o sobie, że jest pesymistą. Znać to, że mu się życie w czarnych kolorach przedstawia, wszystko na świecie wydaje mu się złe i uważa, że w ogóle żyć nie warto.

Kiedym to wyznanie przeczytał, nawiązała się rozmowa między autorem listu i jego adresatem, jak to nieraz człowiek w duchu rozmawia z kimś, kogo na oczy nie widział, a tylko jego pismo czyta. Zapytałem naprzód młodego człowieka: Słuchaj, a jesteś ty zdrów?

— Jak ryba, powiada.

— Ja tam nie bardzo jestem tego pewny. Lekarz tylko mógłby to na pewno powiedzieć i to po dłuższej obserwacji. Że człowiek niezdrów bywa smutny i skłonny do czarnych myśli — to rzecz

wiadoma. Ale bywają takie czarne nastroje i u zdrowych ludzi w młodym wieku. Później się z tego wyrasta i człowiek się sam dziwi, że podobne rzeczy myślał i pisać był gotów. Zadowolony później, że to przeszło, jak pochmurny dzień na wiosnę. Bywa smutek okresu dojrzewania. To częste.

— Już to znam — powiada — ten uśmiech pobłażliwy i lekceważący.

— Wcale nie lekceważący, bo przecież chodzi o czyjeś cierpienie, a nie o moje własne, a nie pobłażliwy, bo taki pesymizm ani mi się czymś obojętnym nie wydaje, ani czymś błahym, tylko u zdrowego człowieka czymś brzydkim i złym, jak każde leniwe cierpienie.

— A to co: „leniwe cierpienie“?

— Słusznie podchwytujesz, bo, ściśle biorąc, cierpienie nigdy nie bywa leniwe, tylko ten bywa leniwy, który cierpi, a cierpienia nie zwalcza i nie unika go wszelkimi godziwymi sposobami. Cierpienie tylko wtedy coś jest warte, jeżeli je człowiek zwalczać próbuje i usuwać. Rozumnie.

— A więc słowa potępienia zamiast wyrozumiałości?

— Nie: jedno zamiast drugiego, tylko: i jedno i drugie zarazem.

— Przepraszam — jakże się jedno z drugim pogodzi? Jeżeli umiemy coś u drugiego zrozumieć, nie bierzemy tego za złe, tylko wybaczymy.

— A jeśli ktoś, w wyższym gimnazjum będąc, nie myje sobie żółto - zielonawych zębów i złym oddechem razi przez to kolegów, wybaczymy mu, czy weźmiemy mu to za złe?

— W wyższym gimnazjum — oczywiście, że za złe. Już powinien mieć na tyle poczucia jakiegoś, żeby się czysto trzymał.

— Pewnie: poczucia higieny i obowiązku to-

warzyńskiego. Ale bywają tacy młodzi ludzie, których nie przyzwyczajono do tego zabiegu w latach dziecięcych i w gimnazjum niższym — czyż będziemy się wobec tego dziwili, że nie objawiają w latach młodzieńczych nawyczki, której nie nabrali w dziecięcych? Czy to nie jest zrozumiałe, że, kto się nie nauczył ślizgać w niższych klasach, ten się źle trzyma na lodzie i w wyższych?

— Zrozumiałe to jest. To prosta rzecz.

— Może i z myciem zębów to samo?

— To samo. Ale co mają zęby do pesymizmu?

— Może coś i mają, ale przede wszystkim to widać, że niekiedy rozumieć umiemy coś, co jest brzydkie i złe, a wcale nie będziemy tego wybaczać; tylko złe nazwiemy złem, a brzydkie brzydkim, choćbyśmy doskonale rozumieli i jedno i drugie. Czy to u innych je spotkamy, czy u siebie samych. Czy to będzie szło o brudne zęby, czy o nalogowe smutki pesymizmu. Zrozumieć, to wcale nie to samo, co wybaczyć.

— No dobrze, ale czyż to coś złego: takie smutne myśli? — Przecież oprzeć im się niepodobna, kiedy się człowiek trochę zastanawiać zaczyna. Same się nasuwają każdemu, kto trochę myśli. Dlatego są i ładne. Świadczą, że człowiek nie tylko kuje łacinę i futbol kopie, ale myśli o czymś, o świecie i o życiu.

— A cóż to tak beznadziejnie smutnego w obrazie świata, że się niektórym młodym ludziom żyć odechciwa, kiedy tylko jego nikły zarys oglądać zaczną? Pokaż i mnie te czarne strony życia — jeżeli są naprawdę, będę się i ja gryzł z tobą. Zobaczymy, może warto? Więc czemu właściwie żyć ci się nie chce?

— Naprzód dlatego, że życie ludzkie jest bardzo krótkie i znikome w porównaniu do długości okresów historycznych, albo geologicznych. Czy

warto, wobec tego, w ogóle?! Tych marnych kilkadziesiąt lat — skoro tamte epoki trwają lat miliony? Przecież to zupełnie zniechęca.

— Ale co to ma do rzeczy? To dlategobym się zrażał do moich dwóch pokoików, w których mi dobrze, że papież ma jedenaście tysięcy sal w Watykanie? Niechże mu służą — mnie lepiej w moich dwóch. Albo dlatego miałaby mi obrzydnąć bułka na śniadanie, że diplodokus albo brontosaurus jurajski zjadał dwa wagony wodorostów na zakąskę? Wcale nie. Czy, niby, to co dłuższe, to ładniejsze? Nic podobnego. Za żadne skarby nie chcę obiadu, najwybredniejszego nawet, któryby trwał sześć tygodni, ani koncertu nieustannego przez miesiąc, ani czarownego wschodu czy zachodu słońca, na który musiałbym patrzeć latami. Ani książki zajmującej, od którejbym wstać nie mógł. Zdaje się, że każde dobro ma swój czas, przez który cieszyć się nim można. Jeżeli trwa dłużej, ponad swoją miarę właściwą, przestaje być dobrem i nuży, zamiast cieszyć. Może być, że i życie ma to do siebie. Jakichś dziewięćdziesiąt, ośmdziesiąt lat — to bardzo dużo i tak. W sam raz wystarczy. Przynajmniej dla mnie. Gdyby chcieć więcej — to trzebaby się chyba odmładzać z czasem i zapominać — przynajmniej to zapominać, co było ciężkie i przykre, aby nie gryzło, a to, co było miłe i dobre też, aby nie powszedniało. Inaczej nie byłoby wcale przyjemnie ciągnąć starość bez końca i miary. Więc może nie zazdrościmy kamieniom i górom ich długiego wieku, baobabom, cedrom, dębom, słoniom i papugom. Bo te właśnie długo żyją, a nie widać po nich, żeby były szczęśliwsze od człowieka.

A jeżeli o to odmładzanie się i zapomnianie chodzi, o to, żeby nowe życie nawiązywać z czasem bez wspomnień dawnych i bez ciężarów a z podobnymi pragnieniami — to człowiek może. Mają przecież niektórzy dzieci do nich podobne, a jeżeli się komu dzieci nie bardzo udały — to mogą mu się udać

wnuki, prawnuki, albo i dzieci drugich ludzi. W nich się człowiek najlepiej odradza. One się od starszych uczą pracować i bawić się i przejmują się nieraz naturą tych, z którymi obcowały — żyją potem za nich — młode i świeże znowu jakiś czas i podają swą młodość i radość następnym pokoleniom. Cudna rzecz być falą w strumieniu życia. Uważam, że to znacznie bardziej zabawne: ta odmiana, niż to, żeby świat był raz koło razu zapchany starcami, po parę tysięcy lat każdym.

Pomyśl, jakie cię jeszcze interesujące rzeczy przez to czekają w życiu, zanim się postarzejesz i dni tobie ciężyc zaczną. A gdy już ciężyc zaczną, niezbyt długo będzie tej męki.

— Ja to rozumiem i nie o to mi chodzi, żeby żyć setki lat. Niechby tam było życie już i krótkie, ale chwil złych jest w nim więcej, niż dobrych. To jest smutne.

— Wcale w to nie wierzę. I nie ma żadnej podstawy, żeby tak twierdzić. Gdzież jest statystyka chwil jednych i drugich? Kto je liczył i sumował? Nikt nigdy — więc i twierdzić tak nie można ze sensem. A gdyby nawet jakiemuś młodemu człowiekowi tak się życie fatalnie składało narazie, że, choć pracuje uczciwie, więcej ma codzien zgrzyzot, niż spokoju i przyjemności, to właśnie taki ma poco żyć i, jeśli tylko nie chory, nie kaleka, miałbym go za wielkie ładaco, gdyby nie potrafił do paru lat wyleźć z biedy i tak sobie życie urządzić, jak mu tego potrzeba i jak mu się żyć podoba. Oczywiście, że w pewnych granicach. Nie musi mieć zaraz automobilu i willi pod miastem w ciągu trzech lat. Ale nie na tym świat stoi.

Trzeba tylko, żeby umiał łaski życia doceniać i nie szukał dziury na całym. A czy to mała przyjemność wyjść rano na świeże powietrze, wypawszy się w miarę i żwawo pracować w jakimś takim warsztacie, który człowiek lubi, aż do zdrowego zmęczenia? A potem z wolną głową dobre żarty

i figle i byle co, aby w dobrym towarzystwie? W takim trybie życia zła chwila — to wyjątek. I żadna nie trwa bez końca. Najgorsze wygląda czas i niepamięć. A niedziela za miastem w lesie, a saneczki zimą a piłka latem, a pogoda na dworze — czy to nie cudne rzeczy? Warto żyć. Samobójcy mają czego żałować. Świat to niebrzydka rzecz.

— Może być, w końcu, że byłoby tak, gdyby nie źli ludzie. Jest tylu ludzi złych, obłudnych, fałszywych i niesprawiedliwych i tak wciąż trzeba walczyć z nimi, że zupełnie odchodzi ochota do wszystkiego. Już lepiej spać i nie myśleć o niczym.

— Ja już widzę, czymbyś ty został najchętniej.

— Na przykład?

— Prokuratorem może albo raczej gorszym Chińczykiem.

— Dlaczego niby?

— Bo bardzo oskarżasz ludzi. To rzecz prokuratora.

— A czemu gorszym Chińczykiem? Cóż to znowu?

— Bo lepszy Chińczyk sprowadza automobile do Pekinu, buduje fabryki, oświetla u siebie ulice, uczy się w domu, w Paryżu i w Berlinie, rano wstaje i ma pełne ręce roboty, żeby u siebie wyplenić ciemnotę, głupotę, brud, barbarzyństwo i nienawiść, a gorszy Chińczyk pali opium, śpi i nie myśli o niczym. Wszy zjadają go w ciszy niczym niezmaconej.

— Pan sobie przedrwiwa, a ja mówię serio.

— Ja też serio, tylko nie boję się myśleć o krok dalej tak samo jak ty i nazywam rzeczy po imieniu. I w Chinach i nie w Chinach trafiają się ludzie lepsi i gorsi i jedni drugim życie zatruwają niepotrzebnie. Zapewne. Kłamią niektórzy i oszukują i kradną i pastwią się nad słabszymi i zęby wyszczerzają przeciw tym, których nie rozumieją dobrze. Kiedy to widzi młody, dzielny człowiek,

wtedy mu właśnie pilno dorosnąć, wejść w życie jak najprędzej i być, jak się należy. Kłamiesz jeden z drugim, powiada, i udajesz: poczekaj, wyrosnę i będę tęgim człowiekiem; ja was nauczę mówić prawdę, będę demaskować drugich i samego siebie też; nie daruję nikomu; już się znajdują tacy, którzy mi pomogą. Przecież ludzi dużo i jest takich więcej, jak ja, tylko rozrzućeni po świecie. Kradną źli — ja im na przekór, będę szanował cudzy grosz i cudzy czas i cudzą pracę i nauczę tego moich bliskich. Krzywdzą ludzkie dzieci — ja będę dla nich dobry. Zjadają jedni drugich, ja im pokażę, że niepotrzebnie. Sprzymierzę się z ludźmi, którzy szerzą światło, będę sam pracował uczciwie i drugich tego nauczę. Jakoś to będzie powoli. Jeszcze na jutro nie odmienimy świata, ale płynie jakiś strumień usiłowań ludzkich w kierunku tego dobra, które przyjdzie jutro. Cudna rzecz być falą w tym strumieniu.

— Ale jaki strumień? To są przenośnie przecież.

— Przenośnie, aby krócej mówić, ale to prosta rzecz, którą można i bez przenośni powiedzieć. Chodzi o to, że ludzie dzielni i u nas i gdzie indziej naprawiają z roku na rok, co tylko można, aby lepiej było na świecie. Nie tylko ubrania i dachy, ale...

— Ubrania naprawiają? Niby: cerują skarpetki? I to jest ten wielki strumień?

— To małe falki; też dobre, ale widziałeś na tej samej linii i większą. Właśnie niedawno ktoś z tych, co rano wstają w Europie, wymyślił ciepłe pończochy na zimę, takie marmurkowane, na których pyłu ulicznego nie znać a grzeją. Teraz i ludziom cieplej i jemu też.

— Myślę — dobrze na tym zarobił.

— Niech ma zdrów; wart tego przecież. Zrobił coś dobrego, poprawił coś na świecie. A słysza-

leś może i o tym, że się w Warszawie ludzie złożyli niedawno i ufundowali wóz do przewożenia chorych w nagłych wypadkach. Jeden i drugi. Lepiej teraz w Warszawie. Poprawili jezdnię latem na kilku ulicach, ale dużo jeszcze dróg w Polsce, na których ludzie grzęzną albo nogi łamią. Wydano trochę książek do nauki, ale więcej ich jeszcze potrzeba. Zaczęliśmy budować port — nie mamy jeszcze floty. Zaczyna się — dopiero. Robi się.

Nie skończyłbym do rana, gdybym ci chciał wymieniać to wszystko, co ludzie na lepsze zmieniają powoli; czy to w wojsku, czy w cywilnym stanie, na kolejach, w fabrykach, w podatkach, w szkołach, w podręcznikach, nawet w zwyczajach. Tylko ta praca idzie powoli, latami. I nie prosto pod górę, tylko falistym biegiem. Na gwałt do niej młodych, dzielnych ludzi potrzeba — jednych do tego, żeby wykonywali porządnie i uczciwie to, co obmyślili drudzy i tych potrzeba najwięcej — innych potrzeba na to, aby obmyślali rzeczy nowe, lepsze od dawnych — ci mają nieraz ciężki los i nie zawsze robią majątki — ale im nie o to chodzi, niejednemu. Do obmyślania rzeczy lepszych, niż dawne, nie każdy stworzony; na to trzeba mieć głowę ponad zwykłą miarę i taką pasję do roboty, żeby się człowiekowi paliła w rękach, — wszystko jedno, czy się na tym zyska, czy straci i czy cię ludzie za to pochwalą, czy wyśmieją, nagrodzą, czy błotem obrzucą.

— Ale to dopiero jest coś warte swoją drogą. Takiemu to musi być nieraz dobrze, choć jest sam. Kiedy się zapali i wie, co robi i na co. Taki wynalazca jakiś, albo ja wiem kto jeszcze...

— Albo badacz, albo prawodawca, albo kierownik fabryki, albo szkoły, albo intronigatorka pomysłów, albo kupiec, który sposób reklamy ulepsza i wprowadza towar dobry, a niespotykany dotychczas. Na każdym polu prawie jest miejsce do obmyślania czegoś lepszego, niż było wczoraj i za

króla Ćwioczka. Ale to, jak mówię, dla wybranych ludzi droga. W życiu, jak w wojsku. Potrzeba trochę szarży, a najwięcej potrzeba szeregowych, aby wszystkim było jutro lepiej, niż dziś. Potrzeba masami i na gwałt tych ludzi, którzy rano wstają, przychodzą na czas, pracują uczciwie, a nie nibyto, — dotrzymują zobowiązań, nie kradną i nie umieją się wyłgiwać od roboty i odpowiedzialności; nie są ciężarem dla nikogo. Jestem przekonany, że i ty w gruncie rzeczy wolałbyś być takim i zasługiwać na zadowolenie własne i drugich, być czymś i być kimś, niż zostać przekreślonym zerem. To marny los przecież. Bardzo to marne biedactwa, które się tak boją ludzkiego fałszu i obludy i niesprawiedliwości, że wolą nie próbować życia w ogóle, tylko odchodzą umyślnie przed czasem, albo się gdzieś po zaciszach kryją, nie widząc, że nie sposób być dobrym człowiekiem w czterech ścianach.

— Jakto? Przecież dobry ten, co nie robi źle. Powiadają, że trzeba tylko unikać zła.

— Nie wart wspomnienia ten, który tylko unika zła. Dopiero ten dobry, który robi dobrze; to, co do niego należy. A nie wart żyć taki, co nie robi źle i nie robi dobrze — i nic, tylko unika zła. Unikać życia, trudu na swoim polu i męki, jak wypadnie, to wstyd dla człowieka. Wstyd dla żywej istoty. Zła nie unikać, tylko je zwalczać warto i naprawiać. I w drugich i w sobie samym. Ale nie w czterech ścianach — to jest życie godne stonogi; tylko w warsztacie, w fabryce, w szkole, w polu, w domu, w sklepie, w biurze, w żywej współpracy z drugimi. Tam dopiero zaczyna się dobro i prawdziwy człowiek.

— Pan mnie trochę wstydzi i wsiada na mnie, jak na łysego konia. Ja, ostatecznie, jestem gotów i pracować, ale życie jest pełne zawodów. Człowiek się spodziewa Bóg wie czego i wyobraża sobie, że dokona cudów, a potem nie wiele z tego wychodzi. I na ludziach zawodzi się z czasem. Bierze nieje-

dnego za przyjaciela, a znajduje w nim egoistę i tak wciąż.

— Ma za swoje. A poco się spodziewał zbyt wiele? Jeżeli do człowieka przychodzisz z ukrytą nadzieją, że będziesz od niego miał same cukierki i kwiaty, uśmiechy i przyjemności i tak wciąż — przygotuj się z góry na zawód. Ale idź do drugiego człowieka z tym, że oto ty dla niego chcesz być dobry, choćby on się miał nawet gniewać na ciebie i niechęcią odpłacał twoje przysługi. Rób mu dobrze, jak ci serce każe, i nie czekaj wdzięczności. Nie licz na nią i wyperswaduj sobie z góry to interesowne oczekiwanie, a zobaczysz, że cię żaden zawód nie spotka. Boś żadnych nagród nie czekał z zewnątrz, tylko ci było przyjemnie dawać według własnej serdecznej potrzeby. Tak w przyjaźni. A tam, gdzie nie o przyjaźń idzie, tylko o zobowiązanie, gdzie ci się coś od drugiego należy, tam swego prawa z góry pilnuj, a jeśli cię zawód spotka, wtedy prawa dochodź. I uważaj na drugi raz. Dla człowieka, który chce być mądry, zawody życiowe są bardzo cenne. Uczą przecież. Nauka zawsze coś warta.

— Może i warta, ale poco właściwie to wszystko? Jaki cel życia? To pytanie nieraz mię dręczy, a nie umiem na nie odpowiedzieć.

— Wiesz, zawsze dobrze się jest zastanowić, o co my się właściwie pytamy, kiedy nam się jakieś pytanie nasuwa. Bo nieraz nas dręczą pytania wieloznaczne i niejasne i fałszywie postawione, o których lepiej było nie myśleć. Więc o co w tym pytaniu chodzi właściwie? O cel? O cel życia twojego, czy życia wszystkich istot żywych na całej ziemi?

— I o jedno i o drugie. Ale przede wszystkim o to pierwsze.

— I ja pamiętam, że w młodym wieku zameęczałem ojca pytaniami: „A na co to?“, „A poco to?“ Naprzód było łatwo o odpowiedzi, bo zapytywałem

bądź to o narzędzia, bądź o czynności, które ludzie stosują, chcąc uzyskać to lub owo, czego pragną. Stąd ojciec nigdy nie był w kłopotcie, jeżeli go pytał bądź to o jego własne narzędzie lub zajęcie, bądź też o narzędzie lub zajęcie innego człowieka lub zwierzęcia, które ojciec znał dobrze i rozumiał się na jego robocie.

Odpowiedzi, które dostawałem, cieszyły mnie tak bardzo, że czasem zacząłem te pytania doczepiać i tam, gdzie wcale nie szło o czyjeś narzędzia i środki, gdzie szło o rzeczy, których nikt do niczego nie stosuje. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że nie wszystko, co istnieje, jest narzędziem człowieka czy innych żywych istot. Myślałem, że wszystko. Zapytywałem więc i o to, poco dwa a dwa jest cztery, i poco są liczby większe, niż te, którymi rachujemy, i poco idzie dym z komina, kiedy się pali pod kuchnią, i na co do gwiazd jest tak daleko, a do Krakowa bliżej, i poco ludzie starsi mają siwe włosy i lyse głowy i poco kot musi mordować myszy a wilk barany, zamiast zabijać marchewkę albo kapustę, jak to zając robi, kiedy głodny. I na co tyle nasion ginie marnie, a tylko ich znikoma częśćka dochodzi. I poco są trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów i zarazy. Ojciec był wtedy w kłopotcie. Dziś mu się nie dziwię zupełnie. Zbywał mnie żartami, albo odsyłał do innych albo mi wymieniał przyczynę zjawiska zamiast celu, o który pytałem, i zdawało mi się, że nie odpowiadał swobodnie. Zapewne; byłbyś i ty w kłopotcie, gdyby cię dziecko pytało np., jaki kolor ma drugi przypadek liczby mnogiej.

Otóż, kiedy ty mnie dziś pytasz, poco się tyle zwierząt i roślin rodzi, pracuje, walczy, zabija nawzajem, musi cierpieć i ginie, jestem i ja w kłopotcie. Żartami nie chcę cię zbywać, a nie myślę udawać mądrzejszego, niż jestem. Jeżeli chcesz, zapytaj o to innych, a możeś już słyszał kiedy, jak odpowiadają. Pomyśl nad tą odpowiedzią i, jeżeli

ci wystarczy, bądź zadowolony. A gdyby ci było trudno o zadowalającą odpowiedź — to jeszcze małe stąd zmartwienie. Bo ci przede wszystkim chodzi nie o cel bakteryj chorobotwórczych i jelitowych glist czy minogów, albo żmij, wilków i zajęcy, tylko o cele życia ludzkiego. Tu łatwiej o odpowiedź. Przyjrzyj się porządnym ludziom, a zobaczysz, jakie mają cele. Poco wstał rano dobry stolarz i zjadł śniadanie? Ma dziś wykończyć szafę na książki, a w tym miesiącu jeszcze całe urządzenie sklepowe. A jaki cel ma w życiu ta pani z przeciwka? Małe dzieci chce wychować na ludzi i dbać o to, aby zawsze miały obiad na czas i całe rękawy. Tego pragnie, do tego celu zmierza rano i wieczór. Ktoś inny ma w tym roku napisać książkę i co dnia około niej pracuje, inny wstąpił do zegarmistrza i w ciągu trzech lat chce się wyzwolić i usamodzielnić. Zależy mu na tym i on zmierza do tego uczciwie i wytrwale. Inny sobie powiedział: zapoznam się z medycyną czy z archeologią i do tego zmierza wytrwale i serio. Oto masz ludzi porządných i widzisz ich cele. Dobro jutra. Każdy z nich jest jakby narzędziem do lepszego jutra. Dobrze też tym ludziom na świecie, choć bieduje niejeden. Życie go nagradza. A spotkasz i gniłków; takich, którym właściwie na niczym zbytnio nie zależy, za głupi na to, żeby się czymś zainteresować poważnie i za leniwi na to, żeby się czegoś chwycić zębami i nie puścić, zbyt słabi na to, żeby do czegoś zmierzać wytrwale i poważnie — sami nie wiedzą, czego chcą i płaczą się po świecie bożym, pasorzytując, na kim się zdarzy — smutni przeważnie i znudzeni w głębi duszy; bałamucają się byle czym — odczuwają dziwną pustkę w życiu i pytanie się im nasuwa: jaki właściwie cel ma to wszystko razem? I poco ja się włóczę po tym świecie?

— Pan do mnie pije niby?

— Gdzieżbym śmiał! Mieć cię za gniłka, ograniczonego i upośledzonego na sile woli? Nie znam cię

przecież i nawet ty nie znasz samego siebie. Nawet i ty sam nie masz prawa dziś takiego wyroku wydawać o sobie samym, bo nie wiesz, jakie jeszcze w tobie siedzą możliwości dobre i śpią narazie. Tobie zależy jednak na pewnych rzeczach i osobach. Ty kogoś i coś kochasz, tylko nie bardzo.

— A skąd pan wie, że nie bardzo? Właśnie że...

— Bo gdybyś ty cokolwiek albo kogokolwiek ukochał bardzo, tak naprawdę — to rano byś się zrywał, aby móc pracować dla niego — jak ta pani dla swoich dzieci, albo ten profesor nad swoją książką i byłoby ci dobrze na świecie i miałbyś cel wyraźny przed sobą. Ja też bardzo wierzę, że go znajdziesz. Inaczej żłebym o tobie zaczął myśleć, ale dopiero po śmierci.

— Jakto: po śmierci? Po czyjej?

— Oczywiście, że po twojej, gdybym cię przeżył i coś wiedział o tobie. Jak długo człowiek żyje, nigdy nie można być pewnym, że nic z niego nie będzie. Niejeden już się plątał bez celu i bąki zbijał i czas tracił, aż na niego przyszedł czas — czasem nieszczęście jakieś, czasem wiek, czasem człowiek, który nim wstrząsnąć potrafił i obudził śpiocha — dość, że się nieraz w człowieku lichym poprzednio budziła jakaś pasja do tej czy innej roboty, umiłowanie jakieś poważne, potrzeba oddania się robocie i z nią przychodziło zadowolenie i pogoda wewnętrzna. A niejeden nie dostał tego i marnie skończył — nieraz i samobójczo.

— A czy to nie jest honorowe wyjście, jeżeli ktoś nie potrafi inaczej?

— Honorowe? Co ty wyplątasz, chłopcze?! Samobójstwo, to dopiero pieczętka hańby, którą życie kładzie na lichych jednostkach ich własną ręką.

— Jakto hańby? Przecież to się nazywa śmierć honorowa.

— W brukowych gazetkach; podobnie jak głupia śmierć w pojedynku.

— Więc i ta głupia?

— Bardzo niemądra. Przecież trzeba być mocno ograniczonym, żeby się z kimś źle wychowanym szturkać ostrem narzędziem, póki ktoś komuś oka nie wydlubie, albo krwi nie wypuści. Na to, żeby niektórzy niemądrzy ludzie udawali, że człowieka za to szanują. Ale o tym warto osobno pomówić kiedyś. Śmierć w pojedynku albo kalectwo w nim odniesione — to w oczach ludzi myślących nie zaszczyt, tylko naturalna kara za głupotę i brak cywilnej odwagi. Bo to ze strachu przed opinią głupich ludzi, ludzie niemądrzy stają do pojedynków. Boją się, żeby ich ktoś niemądry nie posądził o brak ambicji i dlatego wolą: usiłowane morderstwo.

— Ale samobójstwo? Czyż nigdy nie odbierają sobie życia ludzie dzielni?

— My w tej chwili o tym nie mówimy.

— Jakto nie? Właśnie o tym. O samobójstwie, a nie o pojedynkach.

— Owszem; mówimy o różnych haniebnych śmierciach. Jedna — to ten zgon „na placu honorowego boju“, jak się wyrażają gazetki, a druga to samobójstwo młodego człowieka na tle braku celów w życiu. Taki młodzieniec — to przecież wcale nie dzielny człowiek, tylko ktoś, kto nikogo i niczego mocno nie ukochał, nie był w stanie oddać się żadnej pracy, któraby mu zadowolenie dawała; małe serce i mała głowa; czekało go życie z trudem i radością, wołał go dzień jutrzejszy; mógł być i powinien był coś w życiu zrobić i czegoś użyć, a on z pola zwiął i ze swego ciała zwłoki zrobił; tyle tylko dokonał w życiu. I to się ma szanować? To ma być honor? Jakaś, mimowoli, pogardliwa litość co najwyżej; nad odpadkiem, który miał pewne rysy człowieka. Marny los w ogóle.

— Może być, ale zawsze już koniec wtedy wszystkiego i co mu kto zrobi wtedy?

— Zapytaj się księdza katechety, czy koniec. Mnie się największą karą dla takiego mydłka wydaje to, że się raz na zawsze odciął od życia. Najgorszych zbrodniarzy tak karzą.

Dziury w niebie nie będzie, kiedy go zabraknie; to pewna; i strumień żywota też nie zmieni koryta z tego powodu. Największą stratę poniesie on sam. Gdyby wiedział, co stracił przez to, nigdyby tego nie był robił. Życie karze odmową wszelkich przyjemności tych, którzy od niego uciekają.

— A ja to inaczej brałem; miałem wrażenie, że to jest pewna furtka, przez którą zawsze można uciec, kiedy człowiek za wiele nabroi, skompromituje się i nie ma co dalej robić pomiędzy ludźmi. Albo mu zbyt ciężko żyć.

— Zostaw tę „piękną“ furtkę przychwyconym bandytom, zdemaskowanym złodziejom, nieuleczalnym głupcom, a my obaj nawet niepotrzebnie o tym mówimy, bo ani ty serio o tym nie myślisz, ani ja. Ja mam celów w życiu więcej, niż mi czasu starczy, a ty swoje z pewnością odnajdziesz. Mojej robocie jeszcze do końca daleko; twojej nie wiem jak, ale zapewne też nie blisko. Obu nas czekają w warsztatach. W którym mnie, to wiem; w którym ciebie, zobaczymy. Jeden i drugi z nas dużo pracy ma przed sobą i dużo z nią radości. Na pewno.

A jeżeli nas przy pracy kiedyś, albo przy zabawie śmierć zaskoczy, nie będziemy się gryźli z tego powodu. Jeżeli każdy z nas powie sobie wtedy: com mógł zrobić w życiu, tom robił, i com mógł brać z życia, tom brał. Dobrze teraz i drugim miejsce zrobić. Czekają. Dla mnie przynajmniej wielką będzie radością, że wcale nie będę „niezastąpiony“, tylko na moje miejsce, które wypełniałem jak umiałem, przyjdzie drugi, młody, który to równie dobrze, ba — lepiej, przez jakiś czas, potrafi. Rzecz na tym tylko zyska.

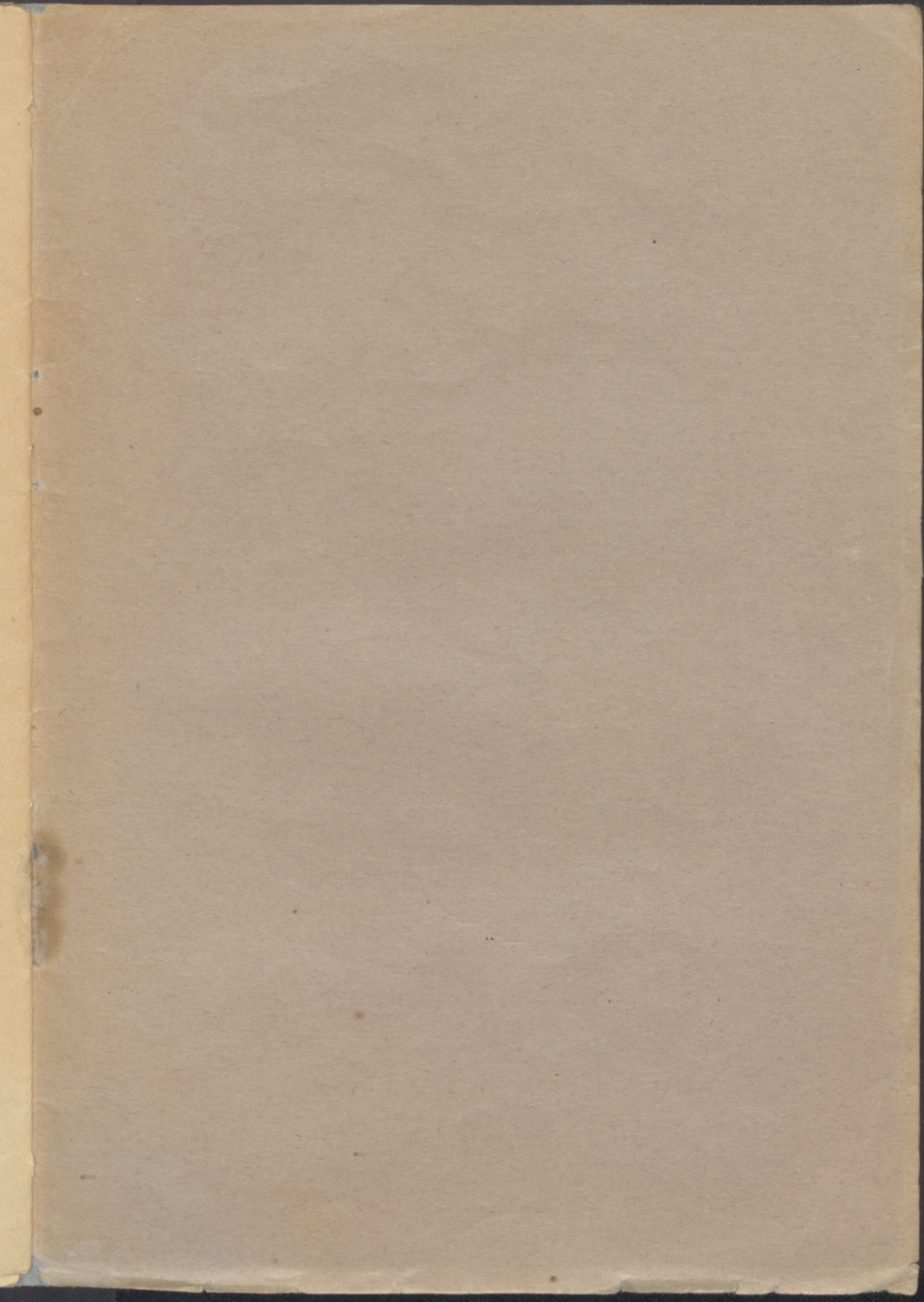
A o nią przecież chodzi przede wszystkim. Rzecz jakaś, mnie czy tobie najmilsza, a może obu nam wspólna? O nią przede wszystkim warto dbać, bo trwa, i koło niej chodzić, a o jednostki mniejsza. Nie myślisz, że jakoś tak?

— Może być; ja sobie to wszystko jeszcze raz muszę rozważyć, bo tak się dużo mówiło: o tym i o tamtym.

— Ja też to zrobię. Do miłego widzenia narazie.



D. 1970/50



157353
Biblioteka Główna UMK



300020715932

LICEALNA BIBLIOTECZKA FILOZOFICZNA.

	zł. gr.
1. Prof. U. W. Dr W. Witwicki: Rozmowa z pesymistą	0.90
2. Prof. Dr St. Kaczorowski: Logika tradycyjna	0.90
3. Prof. U. W. Dr W. Witwicki: Co to jest dyskusja i jak ją trzeba prowadzić?	1.—
4. Prof. Dr W. Łuczyński: Serce — film przeżyć psychicznych	0.90
5. Prof. U. W. Dr St. Baley: Osobowość	
6. Prof. Dr St. Kaczorowski: Logika matematyczna. (Cz. I)	0.90
7. Prof. Dr J. Kuchta: Psychologia głębi. (Freud. Adler. Jung)	0.90
8. Prof. Dr St. Kaczorowski: Logika matematyczna. (Cz. II)	0.90
9. Prof. Dr J. Pieter: Strach i lęk. (Z cyklu: Psychologia a obronność państwa)	1.70
10. Prof. Dr J. Pieter: Odwaga. (Z cyklu: Psychologia a obronność państwa)	1.90
11. Prof. Dr J. Kuchta: Temperamenty	0.90